

Zenon Celegrat

KRUSZENIE ODMIENCA



Zenon Celegrat
„Kruszenie odmieńca”

Copyright © by Zenon Celegrat, 2014
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o. 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Korekta: Paweł Markowski
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o.
Zdjęcie na okładce: © Adrian Hillman - Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-266-5

Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1	5
Rozdział 2	22
Rozdział 3	29
Rozdział 4	57
Rozdział 5	62
Rozdział 6	77
Rozdział 7	87
Rozdział 8	97
Rozdział 9	115
Rozdział 10	133
Rozdział 11	151
Rozdział 12	167
Rozdział 13	184
Rozdział 14	192
Rozdział 15	205
Rozdział 16	218
Rozdział 17	222
Rozdział 18	228
Rozdział 19	252
Rozdział 20	262
Rozdział 21	276
Rozdział 22	291

Rozdział 23	310
Rozdział 24	319
Rozdział 25	335
Rozdział 26	353
Rozdział 27	357
Rozdział 28	371
Rozdział 29	382
Rozdział 30	400
Rozdział 31	412
Rozdział 32	430
Rozdział 33	448
Rozdział 34	459
Rozdział 35	467
Rozdział 36	476
Rozdział 37	490

ROZDZIAŁ 1

Piątek, 17 lipca. Przelotny deszcz odświeżył powietrze. Wyjrzało słońce, ale przez mocno cieniące korony kasztanów, nie przecisnął się nawet promyk. Plac alarmowy, gdzie zwykle prowadzono zajęcia z musztry i słychać było głośnie komendy dowódców, znalazł się pod władaniem ciszy. W salach wykładowych odbywały się zajęcia polityczne. Żołnierze bądź to nudzili się, udając zasłuchanych, bądź drzemali ukryci za plecami kolegów. Jeżeli ktoś rzeczywiście słuchał, to jedynie działacze Koła Młodzieży Wojskowej. Oni z reguły byli aktywni na tego rodzaju zajęciach.

Kabacki wsparł się o parapet otwartego okna. Zatopił wzrok w koronie najbliższego drzewa i powędrował myślami do Hani, szesnastoletniej panienki. Służba wojskowa dobiegała końca, zbliżał się czas, kiedy trzeba będzie pomyśleć o założeniu rodziny; pora więc wybrać odpowiednią kandydatkę na żonkę. Jako sąsiedzi znali się od ładnych paru lat, ale dopiero niedawno stwierdził, że dziewczynka przeistoczyła się w urokliwe dziewczę, nabrała kobiecych kształtów, co w jego mniemaniu oznaczało, że można zacząć myśleć o niej poważnie. Doszedł do wniosku, że nie ma co przebierać w panienkach jak w ulegalkach, gdyż nigdy nie wiadomo, na jaką się trafi, a Hania to pierwszorzędny materiał na żonę i matkę. Wychowywała się po sąsiedzku, tak jakby pod jego okiem, stąd wiedział o niej wszystko, co powinien

wiedzieć, może nawet ciut więcej. Ciemnozielone oczy o subtelnym spojrzeniu, południowa uroda, czarne, długie włosy, zgrabna sylwetka oraz cudowny uśmiech zrobiły swoje...

– Kapralu Kabacki, co was tak rozmarzyło? – oficer polityczny przepędził wspomnienia. – Podzielcie się z nami.

Marek wstał.

– Przypomniała mi się koleżanka – odparł cicho.

– Na drzewie siedzi?

Żołnierze zarechotali radośnie. Na chwilę wszyscy się ożywili. Ten i ów popatrzył w otwarte okno, potem na Kabackiego. Kiedy zapanowała cisza, zadowolony kapitan wrócił do swego wykładu, a Marek do Hani.

Gustował w takich. Już widział ją u swego boku. Chodziła jeszcze do liceum, lecz był gotów poczekać, aż je skończy. Dziewczę, jak się już rzekło, miało szesnaście wiosen, a jej matka, Krysia, zaledwie drugie tyle. Obie jak łanie. W córce płynęło pół krwi polskiej, w matce tylko węgierska. Skradł młódce wszystkiego pięć, góra sześć całusów, a i te przeważnie w biegu, bo starsza czuwała i zawsze była tam, gdzie zanosilo się na więcej.

Któregoś dnia szarmancko uklonił się starszej na ulicy i chciał iść dalej, lecz zastąpiła mu drogę i spytała, czy przychodzi do niej, czy do córki. Zaskoczony pytaniem, zaczął się jąkać, poczuł ogień na uszach i policzkach, w końcu wziął się w garść i powiada, że przychodzi tak sobie, po sąsiedzku, ale do Hani też. Lubi ją, dobrze mu się z nią rozmawia, świetnie czuje się w jej towarzystwie i gdyby nie wojsko, spotykałby się częściej, bo bardzo mu się podoba. Może kiedyś zostanie jego żoną, wypalił na koniec. Nie miał czasu na odpowiedź przemyślaną, jedynie na szczerą. A szczerą lubi płatać figle.

Jednego razu namówiły go na kino. Konkretnie matka wyszła z taką propozycją. W czasie seansu Krysia przylgnęła do niego, nie zdając sobie sprawy, że tym samym ogłasza hormonom alarm bojowy. Odsunął się może na centymetr, bo nie było więcej miejsca, lecz natychmiast zlikwidowała nawet taką odległość. W pewnym momencie jego ręka przypadkowo trafiła na ciepłe udo. Co prawda przez sukienkę, mimo to odczuł przyjemne ciepło w piersi. Opamiętał się i szybko zabrał rękę. Pomyślał o udzie Hani. Chętnie by położył na nim dłoń, ale się nie odważył. Mógł przecież zniechęcić ją do siebie i zaprzepaścić wszelkie szanse. Potajemne buziaki nie upoważniały do sięgania po inne przyjemności. Wyczuł, jak Krysia leciutko rozchyliła nogi, jakby zapraszała dłoń tam, gdzie nigdy u żadnej dziewczyny jeszcze nie była. Nic z tego, nie posunął się dalej. Strach go obleciał. Hania niczego nie zauważyła, ponieważ przytulona do jego ramienia, wpatrywała się w ekran. Do końca filmu trzymał się na baczności, nie chcąc przypadkiem trafić dłonią tam, gdzie nie powinien trafić, choć starsza puszczała przyzwalające sygnały. Wyszły z kina zadowolone, tym bardziej że na ekranie przystojny i kochliwy młodzian podskubywał dziewczkę aż słoma fruwała. Według wróżby Cyganki, Fanfan Tulipan po zaciągnięciu się do wojska, miał poślubić córkę króla. Kabacki na jego miejscu bez wątpienia wolałby poślubić Hanię.

Siedząc na tych zajęciach, przyrzekł sobie nie dopuścić do podobnego przypadku i nie przeskakiwać z kwiatka na kwiatek nawet wyobraźnią, jak to było kilka miesięcy wcześniej. Jeśli ma być Hania, to tylko ona w myśli, w mowie i w uczynku. Słowa dotrzymywał, przynajmniej na razie. Podczas niedawnego urlopu nic gorszącego między nim a Krysią nie zaszło, natomiast

z Hanią rozmawiał wyłącznie w obecności przyzwoitki, czyli starszej. Nie miał do niej żalu za dbałość o cnotę córki. Taka piecza była mu właściwie na rękę.

Ktoś niezdecydowanie zapukał do drzwi.

– Wejść! – rzucił w tamtą stronę oficer polityczny. Wszedł podoficer dyżurny baterii dowodzenia pułku i regulaminowo zameldował kapitanowi, że zgodnie z poleceniem oficera dyżurnego kapral Kabacki ma się natychmiast stawić u zastępcy dowódcy pułku do spraw liniowych.

Najwyższym rangą oficerem, z jakim dotychczas rozmawiał, był major, szef łączności pułku. A tu nagle wzywa go taka szycha! Zgodnie z regulaminem, do przełożonych wyższego szczebla, a zastępca do takich należał, idzie się z niższym przełożonym, który przedstawia podwładnego do raportu. Choć w tym wypadku nie chodziło o raport i żadna kara mu nie groziła, poszedł jak na nie swoich nogach. Przez całą drogę wysilał umysł. Ten jednak nie podsunął żadnych danych, które mogły usprawiedliwić wezwanie. Co prawda zastępca dowódcy pułku nie był aż tak groźny czy nieprzystępny, żeby się go bać, ale Kabacki czuł pewien niepokój i wolałby tam nie iść.

Pułkownik siedział za biurkiem, a dwaj cywile przy stoliku dla interesantów w pobliżu okna. Marek zameldował się regulaminowo.

– To oficerowie kontrwywiadu – powiedział pułkownik, wstając. Wszedł zza biurka i dodał: – Chcą z wami porozmawiać.

Ot pech, pomyślał Kabacki. Wyniuchali mnie nawet tutaj.

Pięć lat wcześniej zetknął się z funkcjonariuszem UB. Wszystko zaczęło się w wagonowni, czyli w miejscu pracy, podczas

przerwy śniadaniowej. Brakoroba na plakacie upodobnił wtedy do Stalina, domalowując odpowiednimi farbami stosowne wąsiska, brwi, włosy i nieodłączną fajkę, którą umieścił za uchem generalissimusa. W rzeczywistości Stalin nigdy jej tam nie wkładał. Ale liczył się efekt. Koledzy mieli cichy ubaw. Na słowny komentarz nikt się nie zdobył; w pobliżu znajdowało się biuro i co jakiś czas któryś z urzędników pojawiał się na stanowiskach pracy.

Nie upłynęła ani godzina, kiedy zjawili się w wagonowni dwaj milicjanci w mundurach i jeden po cywilnemu. Nikt wcześniej o tym nie pomyślał, ponieważ nie przypuszczał, że zeszcpeceniem plakatu może zająć się milicja. Przesłuchiwał cywil w kancelarii naczelnika, który ze skwaszoną miną siedział za biurkiem obok przesłuchującego. Jeden z mundurowych stał za drzwiami, drugi doprowadzał przed oblicze cywila robotników zatrudnionych w miejscu, gdzie znajdował się ów nieszczęsny plakat. Idąc na przesłuchanie, Kabacki spojrział na duży zegar. Zbliżyła się jedenasta. Wchodził jako trzynasty. Poczuł nieprzyjemną woń spod pach. Nie poznawał własnego potu, cuchnął jak nigdy dotąd. Mijając milicjanta, odetchnął głęboko, jakby nabierał sił do zmierzenia się z przedstawicielem władzy. Funkcjonariusz w średnim wieku, dokładnie ogolony, obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem. Już pewnie wie, że to ja, pomyślał Kabacki. Istotnie wiedział, komu przypisać tę nikczemność.

– To zuchwalstwo i polityczna prowokacja! – podniósł głos. Wstał i podszedł do wystraszonego chłopaka. Pochylił się, zajrzał mu w oczy i wycedził: – Czy ty chociaż wiesz, gówniarzu, na co się porwałeś?

Ten bąknął:

– Nie wiem.

Zdenerwowany, śmierzący czymś kwaśnym cywil sprawiał wrażenie, jakby chciał go uderzyć. Pohamował się jednak. Obszedł Kabackiego dookoła i znów zaglądając mu w oczy, rzucił złośliwie:

– Aleś ty głupi, chłopcze, aleś głupi! Ile masz lat?

– Siedemnaście – bąknął Kabacki.

– Nie dziwota, żeś głupi – powiedział śledczy z miną ponuraka. Otworzył drzwi na oścież. – Na komendę z nim! – Rozkazał ostro mundurowym.

Trafił do komisariatu przy ulicy Legionistów. Po dziesięciu minutach zabrali go z dyżurki dwaj inni mundurowi. W piwnicy odpięli pasy i okrutnie złoili mu tyłek, łydki, a nawet plecy. Bluźnili przy tym i wyzywali od najgorszych. Na koniec uświadomili go, żeby w przyszłości durnowate pomysły skutecznie w domu pod pierzyną, a wpierdol dostał za zniszczenie państwowego mienia, jakim był plakat i farby. Bardziej aktywny w biciu oznajmił chłopcu, że będzie siedzieć w piwnicy tak długo, aż skruszeje. Kiedy poczuje, że jest gotowy, ma zastukać w drzwi, tylko mocno, bo inaczej nie usłyszą. Zgasili światło i odeszli, szczerząc zęby jeden do drugiego.

Przed samym sobą wstydził się napływających do oczu łez, ale one nic sobie nie robiły z jego odczuć. Jakiś czas stał z głową opartą o chłodny mur z czerwonych cegieł, cuchnący stęchlizną.

Przez zakratowany otwór z siatką wciskało się do środka trochę światła. Zauważył wydrapane na ścianach napisy. Niektóre zamazano, ale można było odczytać. Poprzedni pechowcy grubiańsko lżyli gliniarzy, co według Marka dobitnie świadczyło, że im też zadawano cierpienie.

Sufit przekazywał odgłos czyichś kroków. Z ulicy dolatywały pojedyncze słowa przechodniów. Pomyślał o przywołaniu kogoś, żeby poprosić o poinformowanie matki, gdzie się znajduje. Zaraz to odrzucił, obawiając się tych od garbowania skóry. Usiąść nie mógł, bo nie miał na czym, a kamienna podłoga nie odpowiadała obolałym pośladkom. Kręcił się w tę i we w tę, nie mogąc odsunąć od siebie czarnych myśli. Przypomniało mu się zdarzenie sprzed sześciu lat, kiedy również został wychłostany. Ból był tak samo dotkliwy. Różniło się cierpienie.

Zabrał go ojczym od ciotki i kazał zadbać o gospodarstwo. Sam udał się do Wrocławia. Przyłożył się chłopak solidnie. Zwierzaki uśmiechały się do niego, on do nich, przynajmniej tak wtedy to widział. I tylko to zostało mu na pocieszenie. Po tygodniu opiekun przyjechał. Przystąpił do lustracji gospodarstwa. Zadowolony Marek chodził za nim krok w krok, spodziewając się pochwały. Tymczasem Lipka zarzucił mu kradzież otrąb i sprzedanie Bóg wie komu. Choć nie określił, ile poszczególnym zwierzętom dosypywać do paszy, obstawał przy swoim, że tyle zjeść nie mogły. Teraz chciał jedynie wiedzieć, kto je kupił. Dwukrotnie Marek wyparł się kradzieży. Wówczas Lipka uznał za stosowne wybić z niego zatwardziałość. Otwartą dłońią trzasnął chłopca w twarz. Ten zatoczył się, ale nie upadł. Ojczym dalej naciskał, klnąc ohydnie i ciskając złorzeczeniami. Nie poskutkowało. Sięgnął po rzemień lejcowy z końskiej uprzęży, która wisiała na ganku.

– Baranim głosem wyśpiewasz! – ostrzegł zapamiętane.

Wówczas skłamał. Chciał odwlec cierpienie. Znał opiekuna i wiedział, że kiedy zaplanował wymierzenie swojej sprawiedliwości, słowa dotrzyma i będzie w tym bezpardonowy. Przyznał

się do sprzedaży otrąb sąsiadowi mieszkającemu po drugiej stronie ulicy Kołłątaja, ojcu kolegi ze szkoły. Janek chwycił Marka za kołnierz koszuli i zaprowadził do niego. Zaskoczony sąsiad nasrożył się i ostro zaprzeczył oskarżeniu. Lipka zacisnęła szczęki. Tamten zmarszczył brwi. Odchrząknął.

– Odczep się, człowiecze! – warknął i zrobił krok w stronę Lipki. Był wyższy prawie o głowę i mocniej zbudowany. – A ty byś kupił cokolwiek od mego dzieciaka, he? No, co, kupiłbyś bez mojej wiedzy, czy nie?

Lipka zdawał się nie słyszeć sensownych pytań. Szarpnął pasierba za ramię.

– Powtórz, co mówiłeś w domu! – wycodził wściekły, gdyż zrobiło mu się głupio, a w dodatku zaskoczyła go czupurność sąsiada, z którym wypił niejedną butelkę bimbru. Silny, wschodni akcent Lipki potęgował w chłopcu strach przed tym, co nieuchronnie musiało nastąpić. Nie wiedział tylko, w jakim wymiarze. Postawa ojca kolegi dodała mu odwagi.

– Nikomu nie sprzedałem – tłumaczył się, ocierając łzy wierzchem dłoni. – Tyle zjadł koń, krowa i ...

– Milcz, złodziejskie nasienie! – potrząsnął Markiem jak snopkiem słomy. Sąsiad z gniewnym wyrazem na czerstwej twarzy pokręcił głową.

– Masz szczęście, że twoja tego nie widzi – powiedział oschle. – Lepiej było tam siedzieć i jej pilnować, z doktorami pogadać, w łapę dać, a nie szukać dziury w całym. Chłopak dobrze sobie radził. Mój mu pomagał. A tyś się czepił jak rzep psiego ogona.

– Ty się w to nie wtykaj. Nie twój interes! – wrzasnął Lipka. Odwrócił się i pociągnął pasierba za sobą. Sąsiad zatrzasnął furtkę, aż brama zadrżała.

Kipiący złością opiekun kazał Markowi poczekać w kuchni. Sam wyszedł na ganek po ulubione narzędzie do wymierzania kary. Nie namyślając się wiele, chłopak pognał w głąb mieszkania i przez sień czmychnął na ulicę drugim wyjściem. Już mu nie dogoni, pocieszał się w duchu. Aby do Luboszy! Ładnych parę kilometrów od Gubina, ale co to dla takiego smyka. Kilkadziesiąt kroków za nim podążał prześladowca w pościgu. Raz po raz, niczym bicze, smagały chłopca okrzyki kierowane do trzech mężczyzn, którzy wysiedli z pociągu w Gubinku i podążali do Gubina. Nie podejrzewając, że wezmą pod uwagę wrzaski Lipki, wpadł w ich ręce. Najmocniej zbudowany zakleszczył dłoń na jego ramieniu. Zlekceważyli wyjaśnienia i prośby; zachowywali się, jakby nie rozumieli, o co mu chodzi, zupełnie jak Lipka wobec sąsiada. W końcu i oni dopatrzyli się w nim złodzieja. Chcąc się uwolnić, ugryzł osiłka w nadgarstek. Ten nie pozostał dłużny. Natychmiast wymierzył mu własną sprawiedliwość, z zamachem, w policzek, żeby bardziej bolało. Szabrownicy ze wschodu, pomyślał chłopiec. Gdyby to wypowiedział, wzięliby go za jasnowidza i pewnie zainkasowałby kilka mocniejszych szturchańców. Lipka już się nie spieszył. Sapiąc ze zmęczenia, podziękował pomocnikom, nazywając ich dobrymi ludźmi. Wtedy takich nie brakowało. Wojna zaprawiła ich do życia, a uczuciowa solidarność ze słabszymi w potrzebie nie mogła się przebić przez mur nieufności.

Tym sposobem na powrót znalazł się w domu bez mamy, w swoim powojennym „bathausen”.

Nazajutrz skoro świt, ojczym nakazał mu spakować manatki. W południe obaj opuścili Gubin. Młodszy miał nadzieję na zamieszkanie bliżej matki, u jednej z ciotek, które osiedliły się

we Wrocławiu. Taką myślą pocieszał się w czasie jazdy. Starszy natomiast wierzył w skuteczne pozbycie się żulika. Przez całą drogę chłopak stał przy oknie, obserwując powojenny krajobraz. A Lipka milczał. Zawzięcie milczał, paląc śmierdzące skręty jednego za drugim. Zamiast bibułki wykorzystywał przygotowane wcześniej kawałki gazety. Marek przypomniał sobie, jak matka jeszcze w Piaskach powiedziała, że Janek używa bibułki, o której przed wojną i w czasie jej trwania chłopcy sprzedający gazety w Lublinie wykrzykiwali: „Bibułka solali! Wieczór sie czyta, rano sie pali!”. Nie pozwolił uchylić okna; przerażały go przeciągi, które ponoć były przyczyną dolegliwości zwanej różą. Gapił się nie wiadomo gdzie, wypuszczał cuchnące smugi z głębi płuc i milczał. Wciąż miał pioruny w oczach podobnych do małych, czarnych guzików. Kilka godzin jazdy, a z ponurej twarzy nie zniknęły ślady gniewu i agresji.

Wrocław. Stosy gruzu po obu stronach torów. Gdzie spojrzeć, kominy sterczące jak krzyże, cmentarzysko zbombardowanych dzielnic. Mimo takiego widoku radowała się dusza chłopca, kiedy stanął pod ogromnym dachem dworca, ocalałego chyba cudem. Spojrzał na swego opiekuna z nadzieją, że powie, gdzie teraz pójdą. Ten jednak użądlił go gniewnym spojrzeniem.

– Masz! A to twój pociąg! – burknął w złości. Marek wziął bilet, po czym spojrział na kościsty drogowskaz. Z końca palca przeskoczył wzrokiem na białą tablicę z czarnym napisem: Wrocław – Częstochowa – Dęblin – Lublin. Nie zdążył jeszcze wyobrazić sobie, co go czeka na końcu drogi, a opiekun dorzucił z tym swoim śmiesznym akcentem: – Czego stoisz jak szmok na weselu? Wsiadaj! Tam twoje psie prawo! U mnie miejsca nie znajdziesz. I na matkę nie licz, złodziejskie nasienie! Drugi raz

nie przyjedzie. – Odwrócił się i odszedł. Zimno zrobiło się chłopcu po tych słowach i pożegnalnym spojrzeniu. Stał jak wrośnięty w betonowe płyty. Chłodem powiało na peronie. Łzy ciekły, bo nie miał nad nimi władzy. Patrzył na rozmazane plecy Lipki, ścisnął w dłoni bilet, mimo to nie mógł uwierzyć, że zostawił go, poszedł i już nie wróci. A miał być mu tatusiem. Tak się do niego zwracał za namową matki i ku jej ucieście. Kiedy całkowicie stracił go z oczu, zelżał chłód na peronie. Jednocześnie odczuł ciężar własnego wieku. Jakież byłby szczęśliwy, mogąc w jednej chwili dorosnąć! Ostatni raz spojrzął na schody i poręcz, o którą otarł się opiekun. Urosnę, ty zbóju, pomyślał z głęboką wiarą.

Konduktor krzyknął, żeby wsiadać. Chłopak przetarł twarz rękawem podnieszczonej marynarki, poprawił wysuwający się spod pachy tłumoczek i po dwóch stopniach ociężałe wszedł do wagonu. Unikał ludzi. Poszukał pustego przedziału. Położył się brzuchem do drewnianej ławki, bo tylko tak nie odczuwał fizycznego bólu. Z głową na tłumoczku nie było najgorzej. Nie przeszkadzał mu turkot, nie obchodziła nadchodząca noc. Zajął się liczeniem styków szyn. Po jakimś czasie, kiedy zrobiło się całkiem ciemno, pomyślał o matce. Jął się pocieszać, że potrafi dojść prawdy i znowu odmieni jego życie. Niech tylko szczęśliwie urodzi.

W Lublinie obudzili go sokiści. Zapytali, dlaczego nocuje w pociągu odstawionym na bocznicę. Był zaspany. Nie potrafił im tego wytłumaczyć. Dopiero dyżurnemu ruchu opowiedział, dlaczego i w jaki sposób znalazł się tutaj bez opieki.

– Widzisz, mały, co ta cholerna wojna porobiła z ludzi – powiedział i z niedowierzaniem potrząsnął głową. Wyjął z szuflady dwie złożone kromki chleba posmarowane smalcem z cebulą.

– Zjedz chociaż to, bo ten plugawy typ zapomniał, że rośniesz i jeść musisz. Biletu do Biskupic też ci nie kupił. Na piechotę miałeś dyrdać? – Chłopak przytaknął ruchem głowy. – Ot podlec! Ale głowa do góry! – pocieszył go kolejarz. Marek milczał, pałaszując przepyszny poczęstunek. – Za pół godziny przekażę cię konduktorowi. Pojedziesz na gapę.

Szedł wolno skrajem szosy. Wieś tonęła w porannych mgłach. Od czasu do czasu gdzieś daleko odezwał się czworonożny dozorca, po chwili następny i jeszcze jeden... Potem krótka cisza i znów to samo. Widział tylko najbliższe zabudowania, te przed mostem na Wieprzu; wyglądały jak szare kopce. Tamtych za rzeką w ogóle nie było widać; otuliła je mgła. Patrząc tam, dostrzegał jedynie szarość. Wyobraził sobie, że wszystko się zapadło oprócz tych psów wzywających pomocy. Niedaleko zagrody wujostwa spotkał go ich kundelek, zupełnie jakby wyostrzony węż podpowiedział mu, kto się zbliża, i że trzeba wyjść na przeciw. Przechylił łebek na jedną stronę, na drugą, zamerdał ogonem i jął podskakiwać w swoim tańcu radości. Chłopak przytulił go i pogłaskał, a on polizał jego twarz i ręce. Do mieszkania ciotki nie zajrzał. Bezgłośnie uchylił wrota stodoły. Na klepisku leżały pachnące snopy żyta. Ojciec spał w sąsiedku na sianie. Do swego gniazda przywykł jak do wygodnego łóżka. Marek cichutko położył się na snopkach. Przyjemny zapach podsuwał na pamięć wszystko, co go tutaj otaczało przed rokiem. Błądził po miedzach zielonych, gdzie wypasały się jego podopieczne, przyglądał się polom, na których pracowali z ojcem. W końcu poskarżył się matce, że Lipka zabrał go z Luboszy, choć miał tam dobrze. Ciocia Henia nie chciała puścić, ale powiedział, że taka jest wola matki, bo trzeba doglądać gospodarstwa. Potem

zrobił z niego złodzieja. Pewnie teraz zechce oszukać mamę. Nie uda mu się oszukać mamy. Ona go przejrzy. I znów zabierze do siebie jak w zeszłym roku. Zawsze mówiła, że ma jednego syna i przy niej jego miejsce. Przy niej wyuczy się fachu i wyrośnie na człowieka. Obiecał sobie wtedy, że tak istotnie będzie, gdyż nigdy jej nie zawiedzie. Na wszystko zarobi, jak wujek Czesiek w Luboszcach. Wróci jeszcze do mamy i Kasi, musi wrócić. I więcej nie da się pobić ani przepędzić.

Obudziła go głodna, niewydojona krowa. Ulotniły się pola i miedze, po których chodziła mama z Kasią, młodszą siostrą Marka, gdzieś w podziemiach rozplynął się Lipka, a przez szczylinę między wrotami wciskało się do stodoły poranne słońce, tworząc czerwonawą kurtynę. Za nią stał zamyślony ojciec wsparty plecami o przegrodę. Nijakie jego oczy patrzyły na syna.

– Odprawili? – zapytał jak przez snopek. Chłopak odczuł wstyd i przykrość. Ojciec wolno potrząsnął głową. – Pilno im było – dodał, podchodząc bliżej. Zacisnąwszy zęby, Marek usiadł i zaczął dukać:

– Mamusia chora. W szpitalu jest...

– Długo przy nim nie pożyje – wtrącił ojciec takim głosem, jakby patrzył na jej umieranie.

– Pożyje! – zaprzeczył syn zapamiętane. Wstał. Ból pośladków i pleców przeszył go całego. – Musi pożyć! – dorzucił, nie mogąc znieść grymasu na twarzy ojca. – Pacierze mówię...

– Co jej?

– Chora. Dziecko ma urodzić. Do specjalistów pojechała. Gubin to zadupie. Ani doktorów dobrych nie ma.

– Matka chora, a kulfon wyгнаł – powiedział Janek smutnym głosem. Syn bezradnie patrzył na ojca. Ścisnięta krtań nie

pozwoili powiedzieć nic więcej. Gdyby nie wiedział, że to ojciec, pewnie by go nie poznał. Zmienił się przez ten rok. Zarósł, posiwiał, zapadły mu się oczy, a tuż pod nimi zwisały fałdy pomarszczonej skóry. Podszedł całkiem blisko i wyciągnął rękę. Ręka chłopca na moment zatrzymała się wpół drogi. Zemdlilo go.

– Głaz przygniótł – rzekł ojciec z ledwie wyczuwalną skargą. – Musieli urznąć. – Marek obiema rękami uściśnął wielką dłoń bez połowy środkowego i wskazującego palca. Zamiast opuszek i paznokci zobaczył zarumienione czapeczki, posiekane zmarszczkami. – Kosę ciężko utrzymać – dodał tak cicho, jakby obawiał się kogoś podsłuchującego.

Po śniadaniu poszli pod ogromną sosnę z gniazdami wron nieopodal zagrody wujostwa. Czuł zapach lasu i niedawno skoszonych zbóż. Delikatny wietrzyk powiewał od rzeki, przynosząc z tamtej strony zapach łąk i chłopskich zagród. Ojciec usiadł na trawie i oparł się plecami o drzewo. Marek położył się na boku. Nie narzekał na życie w Gubinie. Pochwalił się szkołą, wspaniałym koniem, meblami, jakich w Pelczynie nikt nie ma, lecz wszystko to przysłonił cień ostatniej krzywdy. Dokuczala mu okrutnie. Musiał ją z siebie wyrzucić. Chcąc sprawdzić, czy są jakieś ślady, ojciec obejrzał obolałe miejsca. Kiedy syn się odwrócił, w oczach ojca szklily się łzy. Z żalem i bólem przywarł twarzą do szerokiej piersi. Ojciec przytulił go. Pierwszy raz tak serdecznie go przytulił.

Postanowił zastukać do drzwi, a gdy otworzą, powiedzieć, że czuje w sobie skruszenie, choć w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, jak się takie coś objawia, co się odczuwa podczas skruszenia i po nim.

Funkcjonariuszem, w którego gestii znalazł się dalszy los Marka, był porucznik UB. Miał ciemne, krzaczaste brwi, które

łącząc się, tworzyły jakby daszek nad kształtnym nosem i szarymi oczami, zaznaczone kości policzkowe i ciemne włosy zaczesane do góry, posmarowane brylantyną. Z twarzy przypominał Markowi wujka, którego lubił tylko za to, że był człowiekiem wesołym, często uśmiechniętym, a przy okazji spotkań rodzinnych opowiadał dowcipy, które najbardziej rozśmieszały Zofię, matkę Marka. Po pierwszych kilku zdaniach, jakie wypowiedział porucznik, Kabacki stwierdził, że jest on człowiekiem kulturalnym, bo nie bluźni, jak ci od bicia, nie śmierdzi, jak cywil w kancelarii naczelnika wagonowni, a do tego ma na sobie elegancki garnitur i krawat, podał mu rękę na przywitanie i kazał usiąść. Choć na pośladkach czuł ogień, nie okazał tego żadnym grymasem. Powoli usiadł. Naprężył mięśnie nóg, bo wtedy tyłek mniej bolał. Porucznik ze spokojem poinformował go, że zostanie potraktowany ulgowo, ponieważ nie ma osiemnastu lat. Zrobi wyjątek i obejdzie się bez prokuratora, ale pod pewnymi warunkami. Trzeba podpisać zobowiązanie do współpracy w takich i podobnych sprawach oraz wyrzec się brania w nich udziału. Można odmówić, ale wówczas nie będzie wyjątku. Nie miał zamiaru odmawiać, nie dbał też o to, co porucznik podsunie mu do podpisu. Podpisałby nawet diabłu cyrograf, byleby natychmiast stąd wyjść i wrócić do pracy albo do domu. Wyrzekł się udziału w takich i podobnych sprawach, co poświadczył własnoręcznym podpisem. Na koniec porucznik obiecał spotkać się z nim w celu nawiązania ściślejszej współpracy, ale dopiero wówczas, kiedy już będzie pełnoletni.

Wyglądało na to, że już wtedy był przekorny, czyli niepodatny na skruszenie, bo niebawem przyszło mu do głowy, że do takich i podobnych spraw nie zalicza się włączenia Wolnej Europy

do sieci radiowęzła miejskiego. Podekscytowany, w tajemnicy przed domownikami, czekał do północy na hymn kończący program Polskiego Radia, by natychmiast podłączyć do sieci rodzinne radio z prowizorycznym wzmacniaczem wykonanym własnoręcznie i nastawić Wolną Europę lub Głos Ameryki z Europy. Zakłócenia były, ale skoro on mógł spośród buczenia i trzasków wyłowić głos, na którym mu zależało, i usłyszeć wiele ciekawych wiadomości, to inni też mogli.

Krótko upajał się swoim dziełem. Dzięki obywatelom, безпеka zazwyczaj szybko i skutecznie likwidowała jakąkolwiek działalność wymierzoną w podstawy naszego ustroju. Tym razem nie został pobity. I to wcale nie pełnoletniość go uchroniła. Miał zostać ich człowiekiem, czyli człowiekiem polskiej безпеki. Od razu stanął twarzą w twarz z tym samym porucznikiem. Obyło się bez prokuratora, a tym samym sądu. Nie szykanowano matki ani Lipki, bo z miejsca do wszystkiego się przyznał, wykluczając jednocześnie działanie za namową kogokolwiek, co sugerował porucznik. Teraz także było coś za coś. Podpisał bowiem zmodyfikowane zobowiązanie do współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa, w którego imieniu działał porucznik Krzysztof Głowacz. Kabacki zdystansował się od wszelkiej działalności antypaństwowej, przygoda z siecią radiowęzła została do takiej zaliczona, wziął na siebie obowiązek składania porucznikowi pisemnych sprawozdań ze wszystkiego, co usłyszy lub zobaczy w swoim miejscu pracy, a nawet poza nią, jeśli będzie to nosić znamiona szkodenia naszemu porządkowi społecznemu. Dodatkowo zobowiązał się dochować ścisłej tajemnicy na temat współpracy. Raz w miesiącu spotykał się z Głowaczem w zakonspirowanym lokalu przy ulicy Okrzei, by zdać ustną relację

ze swojej działalności. Porucznik decydował, co z tego godzi w socjalistyczne państwo, a co nie. Dopiero po weryfikacji Marek mógł pisać sprawozdanie w formie oświadczenia, które podpisywał pseudonimem Konar. Głowacz uznał jego działalność za normalną pracę dla dobra ludowej ojczyzny i z tej racji, za pokwitowaniem, wypłacał mu kilkadziesiąt złotych, ponieważ ojczyzna nie wyzyskuje swoich obywateli. Wydawał je przeważnie podczas potańcówek, jakie w owych czasach odbywały się w każdą sobotę i niedzielę. Choć nie był rozrzutny, jedna taka wypłata wystarczała raptem na jedną potańcówkę.

Kiedy Józef Światło uciekł na Zachód i na falach Wolnej Europy odkrywał prawdziwe oblicze podpory systemu, czyli Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, zostało ono przekształcone w Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a UB w SB. Pobór do wojska wydał się Kabackiemu wyzwoleniem. Jak gdyby dla potwierdzenia tego, porucznik Głowacz oświadczył, że w związku ze służbą wojskową następuje zawieszenie współpracy. Marek postanowił wtedy wykorzystać okazję i zostać w wojsku. Sądził, że w ten sposób wystrychnie porucznika na dudka.